

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK II WIELKOPOLSKA LISTOPAD 1932 NR. 11 (14)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

ALFRED JESIONOWSKI:

TWÓRCZOŚĆ REGJONALNA STANISŁAWA HELSZTYŃSKIEGO

„Obudzić przez działanie miłość do kąta rodzinnego, wytworzyć więź uczuciową z środowiskiem", (Wasilewski) zaakcentować swą część w ogólnym dorobku kulturalnym całego narodu, wytworzyć współtwórców kultury narodowej na odcinku mniejszym, nie wywyższając się nad inne dzielnice, inne krainy — o to zadanie, jakie sobie zakreślili w samych już początkach ruchu regjonalnego wielkopolskiego regjonaliści tej ziemi. Świadomi byli sobie, że „regjon jako czynnik psychiczny w życiu jest kwestją stosunku uczuciowego człowieka do jego środowiska geograficznego". (Wasilewski) Twórczość danego regjonu w całej pełni tylko zrozumieć może ten, kto się z ziemią tą bliżej zapoznał, ją pokochał, gdyż poza walorami ogólnonarodowemi w pierwszym rzędzie akcentować będzie momenty ściśle z regjonem związane. Odnosi się to szczególnie do poezyj regjonalnych. Bardziej niż kiedykolwiek ważna tu zasada. Wer den Dichter will verstehn muss in Dichters Lande geh'n. W odniesieniu do twórczości regjonalnej Helsztyńskiego wielu krytyków jego zbiorów sonetów regjonalnych — faktu tego zupełnie nie uwzględniła, opierając swe wyroki wyłącznie na kryterjach estetycznych Twórczość Helsztyńskiego posiada walory związane ściśle z zadaniem regjonalizmu. „Za pracę twórczą regjonalną", mówi Wasilewski, świetny teoretyk regjonalizmu i subtelny poeta „uważać należy tylko tę, która jest wewnętrznie z najgłębszych pobudek moralnych zamierzona na zasilenie cywilizacji ogólnej narodu. Za punkt wyjścia może ona brać wszystko, co budzi w jej ludziach pracę twórczą przez ożywianie jej uczuciami przywiązania do swego zakątka". Poezje regjonalne Helsztyńskiego tchną szczerą miłością i przywiązaniem do ziemi rodzinnej, niema w nich zimnego wyrachowania, pełne są szczerego entuzjazmu twórczego w wydobywaniu wartości kulturalnych przeszłości i teraźniejszości regjonu. — Twórczość Helsztyńskiego cechuje nietylko entuzjazm tworzenia ale głęboka, fanatyczna miłość do pomników wielkości Polski ukrytych na opiewanych przez siebie ziemiach. Patent twórcy regjonalnego nadaje Helsztyńskiemu cenne zdanie Wasilewskiego: „Psychika pracy regjonalnej, gdyby nic innego do życia cywilizacji nie wniosła, jak tylko to, co jest jej podstawą: miłość ziemi i entuzjazm tworzenia — już spełniłaby swoją misję". Helsztyński potrafił w swych sonetach regjonalnych zdobyć się na głębokie akcenty miłości swej ziemi, umie zapalić swoim entuzjazmem czytelnika, umie wskrzesić zapomniane postacie, pamiątki czcigodne świadczące o starożytności i wielkości kultury polskiej, o jej znaczeniu historycznem wraz z blaskami i nędzami historji. Helsztyński umie wzruszyć młode pokolenie u stóp pomników powstańców rozsianych po wszystkich krainach, miasteczkach Wielkopolski, umie dać lekcję patrjotyzmu i bezinteresownego poświęcenia.



STANISŁAW HELSZTYŃSKI
rysunek Marjana Turwida.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w twórczości regjonalnej historja zajmuje miejsce naczelne, będą to wspomnienia o starych zabytkach, o zasłużonych mężach: politykach, statystach, wodzach, działaczach społecznych, twórcach artystycznych, rozmaite wydarzenia dziejowe. W twórczości Helsztyńskiego tworzą te wspomnienia historyczne trochę zbyt rażącą dysproporcję. Aktualność dochodzi do głosu prawie tylko w Sonetach Inowrocławskich, wskutek czego lektura sonetów regj. H. jest á la longue nużąca, a osobowość twórcza nie uwydatnia się dość wyraziście. Za to tam, gdzie poeta włożył własne swe przeżycia (Gostyń w Pieśni, W Grodzie Halszki, Mnich, Sonety Inowr.) wybijają się akcenty liryczne, poeta staje się sobą, wypowiada swe tęsknoty i umiłowania, pragnienia i refleksje, otwiera swe serce na oścież. Akcenty te są nieraz naiwne, niezawsze dostatecznie przemyślane, ale bo też większość dotąd wydanych zbiorków, to utwory lat

młodzieńczych. Wszystkie ogłoszone dotąd utwory H. powstały w latach 1917-1924 a nawet wcześniej. Chronologja powstania poszczególnych utworów wyjaśnia dużo. W okresie kształtowania się psychiki poety powstają utwory czysto religijne (ogłoszone częściowo w „Meteorze", czasopiśmie XX. Misjonarzy w Krakowie, gdzie się autor kształcił). W okresie pierwszego załamania się powstaje „Mnich", wierny obraz konfliktów duchowych poety, pełen reminiscencyj biblijnych i religijnych wogóle (tłomaczenia z kancjonału kośc.). W następnym tomiku: „Na Pałukach" konflikt religijny pogłębia się jeszcze („Gliczner", „Fridolin", „Przybyszewski"). Zbiorek „W Grodzie Halszki" jest odzwierciedleniem nowej fazy duchowej poety. Tragiczna historja Halszki posłużyła poecie do wyrażenia własnych tęsknot. Halszka z zbiorku nosi wiele cech narzeczonej (dziś żony) poety. Sonety szczere, doskonale odczute. Zupełnie innego rodzaju jest zbiór „Gostyń w pieśni". Buntowniczy ton poprzednich zbiorków doznaje złagodzenia pod wpływem wspomnień dzieciństwa, młodych lat. Nawet sonety historyczne odznaczają się tutaj silnym akcentem osobistym. Duma regjonalna ponosi poetę nieraz, odchyla się wtedy od historji i nadaje postaciom czy wydarzeniom historycznym zabarwienie subjektywne. Entuzjazm, który H. wogóle jest właściwy, występuje tu szczególnie żywiołowo i serdecznie. Ta bezpośredniość poetycka nie występuje już z taką siłą w innych utworach, obejmujące regjony poecie nie tak bliskie sercu jak Gostyń, klasztor w Łubiniu, drogi wydeptane w dzieciństwie do szkoły w Siemowie, chata ojcowska. To też pragnie poeta:

Tu pośród boru spocząć (mi)
w ciszy pod sosną,
bym głosów w okrąg słyszał
po kościołach głosy
i śnił popod drzewami,
pod pieśnią żałosną,
że jest to ziemi całej
najpiękniejszy kątek,
że otaczają skroń mą
najdroższe z pamiątek — —

Nuta osobista, tak silna w tym zbiorku, stanowi cały jego czar, — szkoda, że już rzadziej dochodzi do głosu w innych utworach.

W „Międzyrzeczu", „Na Pałukach", „Gnieździe Orła" przeważa regjonalizm ogólny. Poeta umie zręcznie wychwytywać z regjonu nietylko ciekawe zabytki architektury, wybitne postacie i wydarzenia dziejowe — ale umiejętnie odkrywa czar wielkopolskiej wsi, cichego jeziora, starego lasu. W ujmowaniu historji i postaci jest najwięcej niejednolitości. To daje poeta poprostu rymowany życiorys i wyliczenie zasług czy dzieł, to snuje uwagi tylko na tle dzieła opiewanej postaci, to znów własne refleksje w związku z opiewanym przedmiotem. W sonetach historycznych uwydatnia się silnie humanistyczne wykształcenie poety, czasem w rażącej wprost formie (sonet o Miaskowskim naszpikowany jest greczyzną). Tam gdzie dana postać, godna wspomnienia, porusza w poecie struny duszy — tam i sonet płynniejszy, rym bogatszy, ton szczerszy. Do najlepszych sonetów tego rodzaju należą sonety o Kasprowiczu i Przybyszewskim. Oto jak się prezentuje poecie Szymborze, wieś rodzinna Kasprowicza:

„Cząstka świętej Hellady,
toń mrocznych głębin
Ogrody hesperyjskie
z gronami jarzębin,
Kanaan, które się od poezji ugina:
Pieśń wieczorna nieszporów
i Salve Regina.
Diesirae, modły, hymny,
krzyki Święty Boże..."

— a o to ustęp z sonetu Łojewo (wieś rodzinna Przybyszewskiego):

„Smok powstał, który niebios
w krąg tratował hufce
Chuć, płeć i naga dusza,
sabat, metasłowo
korowód widm i hasła
co porwały ogół,
blaski i zmierzch, któremi lśnił mag,
mistrz literat
Trysmegist, Szymon czarnoksiężnik,
siłowych kierat
Tony Szopena,
całą twórczość swą tęczową
ze stosu książek wziął,
co tu leżały w rogu."

Ujmowanie wydarzeń i zagadnień historycznych przez H. odznacza się dużą wnikliwością, darem syntezy, umiejętnością wczucia się w atmosferę epoki i ducha czasu. Nie umie się jednak poeta ustrzec od banalności, konwencjonalnego potraktowania tematu, frazeologji nic nie mówiącej. Jednakże na podstawie tych utworów młodzieńczych trudno wydać sąd ostateczny. Utwory pisane w ostatnich latach, latach dojrzałych poety, zamieszczone dodatkowo w niewielkiej ilości w „Gostyniu" i „Gnieździe Orła" świadczą o poważnem krzepnięciu talentu poetyckiego H. Refleksje religijne i filozoficzne, tematy erotyczne i przyrodnicze ujęte są głębiej, dojrzalej, płynniej, forma nastręcza mniej zastrzeżeń. Jeszcze zbyt silne jest zamiłowanie do określeń wschodnich, do naśladownictwa Mickiewicza, Staffa, Kasprowicza. Formie sonetów regj. H. poświęcimy odrębny artykuł. W sumie jednak spełniają sonety regj. Helsztyńskiego, podkreślmy to jeszcze raz, godnie swą rolę kulturalną, stanowią pozycję ciekawą i ważną w wielkopolskim ruchu regjonalnym, spełniają rolę pedagogiczną i patrjotyczną, dają sporą sumę wrażeń estetycznych, pobudzają do działalności regjonalnej, odkrywają w formie poetyckiej zapomniane dzieje kultury wielkopolskiej, uczą miłości ziemi rodzinnej, są więc godne uwagi i zmuszają do liczenia się z Helsztyńskim jako poetą i poważnym regjonalistą.

ZOFJA MAJEWSKA:

W STARYM ZAMKU W GOŁUCHOWIE

Nocą listopada trzebaby tam wtargnąć, z księżycem się zmówić, by latarni swej srebrnej nie gasił, z mgławicami ujednać, by pozwoliły uchylić swych chust zasłony. Przyczajony w mrocznym kącie jakim — przepatrzeć, przesłuchać długą noc duchów...

Bo z wyżyn obrazu, — złotych ram więzienia schodzi księżna - pani. W jedyną noc tę, gdy wieczność swe otwiera wierzeje i ci co odeszli wracają na krótkie chwile do swych miłości, — przeznaczeń, — źródeł doli — niedoli; — schodzi i księżna — pani w mroczne zamku komnaty do umiłowanego dzieła życia swego. Schodzi księżna — pani z złotych ram obrazu w czarnych warkoczy djademie z poszumem brokatów, wiewem koronek...

Wnęki okien obronnych murów zamku wpuszczają srebrny księżyc, by poświecił pani w cichej po komnatach wędrówce.

Nie cichej ... bo oto arcydzieła zastygłych przed wieki rąk ludzkich ożyły i wiodą z sobą rozgwar bijący pod strop. — Jeno, że nie ucho zwykłego śmiertelnika go dosłyszy i nie każdy pojmie spojrzenia spoglądających z pod pyłu stuleci pamiątek. — Bo czas zgasi barwy, osuszy łzy, uciszy serca bicie, zaciera ślady bólu, radości nietylko u ludzi. — — I one przysypał pył zapomnienia i barwy ich zbladły — arcydzieł nagromadzonych szeregi...

W sali wielkiej staje pani — kędy w szelakim sprzęcie rycerskim ożyła wspomnień nawała. Zbroice srebrzyste, — siodła srebrem cyzelowane, — ryngrafy herbowe, — buńczuki krasne, — szablice szacowne wspominają recerskie potrzeby, — boje krwawe, — potyczki zwycięskie. Ciasne ściany, komnaty zwanej — polską — zdaje się rozpierać szum sztandarów, świst szabel, chrzęst rzędów bogatych .. Może to duchy

MARJAN TURWID:

MÓJ DOM

Czas — — jest przezroczysty...
więc choć rozdzielił nas
szybą na „przeszłość" przetopionych lat
pomnę
mój dom ojczysty
: — mury wyniosłe, ogromne
zamykające świat
biały, zielony i złoty. —
— zamczysko rozrosłe wspaniale
na stromej dumy skale
urągające snom
z tysiąca — i — jednej nocy — —
Zbliżony soczewką tęsknoty
mój dom
potęgą ojcowskiej mocy
w niebiosa matczynej pogody
nad wszystkie wyrasta grody...
— — — — — — — — — — — — —
— — tak mówi wspomnień przejrzysta zapora;
wierzę — — choć wiem,
że gdyby twardem uderzeniem pięści
móc szybę czasu rozbić w drobne części
a potem stanąć z którymś dawnym dniem
tak: twarzą w twarz,
i czujną godzin omyliwszy straż
zginąć w zaułkach minionego wczoraj — —
— wystarczy podejść i z bliska popatrzeć
by przyznać z cicha, że było — — inaczej.
By przyznać sobie i więcej nikomu,
że świat „tęczami baśni" malowany,
że dumne mury rodzinnego domu,
to popękane, pochylone ściany,
którejś ubogiej, starej kamienicy
przy zapomnianej półsennej ulicy.
Dom szarych godzin.
W poszóstnej karocy
nikt przed schylone nie zajedzie bramy,
zato przez niskie wydeptane progi
łatwo się troski przekradną i trwogi,
aby bezkarnie drwić z ojcowskiej mocy
i aby gasić błękit w oczach mamy.
Łatwiej dzień zgasić niż blask źrenic matki, —
chociażby były klęsk śmiertelnych świadkiem,
choćby się wdarła między ściany domu
w gwałtownym wichrze burz i łunach gromu
czarna godzina niedoli człowieka.
Pod każdym krzyżem człowieczej kalwarji
matka
godzinę cierniową przeczeka
by do ostatka
niebem spojrzeń Marji
(choć przez zasłonę kryształową łez)
zapewniać słodko, że błękitny kres
położy koniec złu i poniewierce,
bo jest silniejsze nad burzę i grom
jej serce
mój dom.
— — — — — — — — — — — — —

Fragment poematu, wyjętego z drukowanego obecnie II. Tomu Bibljoteki Wici Wielkopolskich.

---

zmarłych rycerzy wróciły do zbroic umiłowanych i wiodą z nimi rozhowór cichy... może... Lecz tylko księżna—pani wie prawdę, — zna szmerów mowę tajemną. Uśmiecha się do nich tym dobrym uśmiechem rozmiłowania w pięknie i bezszelestnym widziadła krokiem podąża w dal... krużgankiem mrocznym, do sali waz greckich, — kędy szczątki helleńskiego piękna nagromadzone drzemią. Dumne w posągowej prostocie spoglądają w dal... Obca im miernota obecnego wieku, — niezrozumiałe, niedocenione, niedoścignione w doskonałości piękna kształtów stoją wsłuchane w przedwiekowe echa swej chwały... I tylko pani je rozumie, tylko jej ręka biała, cudna niby blady kwiat cieplarniany oderwie się na chwilę od sztywnych fałd brokatowych szat i dotknie miękkim zachwytu ruchem bezcennej korynckiej czary... I jako kiedyś, słońcem, pięknem i miłością żyła Hellada, tak i dzisiaj wraca im miłosne pięknej dłoni dotknięcie — ukryte życie... Ożyły posągi, zadygotały wspomnień ogromem... jeszcze chwila — a Nike skrzydlata zwiąże srebrne, wpadające do komnaty



Władysław Motty: „W podziemiach kościelnych"

księżyca promienie w harf struny i zabrzmi za chwilę zwycięzka pieśń na cześć helleńskiego piękna, wiecznie żywego! — Lecz oto księżna — pani śle w przestrzeń pożegnania uśmiech smutny i znika w rzeźbionych ramach odedrzwia.

Mija mroczne komnaty pełne tajemnych szelestów i szmerów i staje cicha, bielejąc w ciemnym krużganku liljowemi plamami twarzy i rąk. — Staje nieruchoma, aby nie płoszyć najserdeczniejszej zjawy tej nocy...

Bo oto w niszy gotyckiego okna, oblana srebrno - zieloną poświatą księżyca, przypadła matka do szczątek śmiertelnych dzieciątka swego. Z dalekiego Egiptu zwieziona mumja dziecięcia, spowinięta w szaty wschodu, spowinięta wstęgami o nieznanych dzisiejszemu człowiekowi napisach. Grobom rodzimych stron wyrwana, z podnóży Sfinksów sprowadzona, — tajemna jak one, leży w niszy gotyckiej polskiego zamku, malutka, jedwabiami spowinięta. I oto pochyla się nad nią widmo matki. Cóż z tego, że lat temu tysiące, — że drogi nieznane, epoki minione... Zastygła w serdecznych wspominkach szczęsnych chwil, otula matka dziecinę — szepce nieznane tym ścianom słowa, — słowa miłości najtrwalszej — najczystszej... Cofa się w ciemnym krużganku słuchająca widmowych szmerów księżna — pani, — cofa się — wszak nocka duchów mija tak hyżo... a serce matki zna pieszczot tyle...

Po cichej wędrówce staje księżna-pani u drzwi zamkowej sypialni, — kędy śród mroku nocy złocą się kolumny weneckiego łoża, bieleją marmury dawno zastygłego kominka, szeleszczą jedwabie flamandzkich obić, kędy śród smug zielono-srebrnej poświaty błądzi smętne widmo

miedziano-złotej dogaresy. Dogaresy cudnej o włosach z płomienia, oczach zielonych, wargach krwawych, może od pocałunków — może od łez tajonych. — Piękna błądzi od skrzyni kowanej — do łoża w kolumnach, — do biurka o skrytkach tajemnych. Układa pożółkłe kartki listów — próbuje cienkiego ostrza sztyletu — dotyka skrytki z niezawodną trucizną i słucha kto pierwszy się zjawi... mąż jej siwy doża groźny... czy paź złotowłosy o czarnych, płomiennych źrenicach... Cisza... i nikt nie nadchodzi... Z jękiem opada dogaresa na złote łoże... z jękiem przesypuje w białych dłoniach różowych pereł sznury. To łzy wypłakane śród złotych kolumien weneckiego łoża przez miedziano-złotą cudną dogaresę. Liczy je w noc widmową cudna Wenecjanka i myśli z smutkiem, że mniej palą, niż wtenczas, gdy wylewały je zielone jej oczy, — myśli ze smutkiem, że czas gasi nietylko żar uczuć lecz i bólu. Tak myśli cudna, żałująca swego serdecznego bólu Wenecjanka.

A czas hyżo bieży — noc duchów ubiega i księżnej — pani wędrówka widmowa się kończy. Powracać jej trzeba w ram złotych mieszkanie.

Gwiazdy mrugają coraz senniej, — księżyc gasi ostatnie seledynowe promienie. Za chwilę mgławice listopada spowiją zamek niby w chusty szare. Niebawem rozpocznie się dzień — i rzeczywistość.

ZOFJA BEILMANNÓWNA:

PRZYCZYNKI DO ZWYCZAJÓW POGRZEBOWYCH W POLSCE

Dużo ciekawych wierzeń i zwyczajów ma lud polski na dzień Zaduszny. Każdy prawie słyszał od bardzo wiarygodnego świadka, że widział on o północy z 1-go na 2-go listopada światło w kościółku wiejskim, niektórzy słyszeli nawet, jak organy grały. Wiadomo zresztą wszystkim, że w noc Zaduszną idzie procesja duchów z cmentarza do kościoła, w którym duch-ksiądz odprawia dla nich mszę św. Dlatego też zapalają wieczorem świeczki i lampki na grobach, aby duszyczkom oświetliły drogę podczas pochodu do kościoła.

Ciekawe są także zwyczaje pogrzebowe różnych okolic. Oto kilka, zebranych w parafji lubaskiej powiatu czarnkowskiego.

Gdy ciężko chorego przygotuje ksiądz na śmierć i wychodzi właśnie z izby, ktoś z domowników gasi świece i uważa, w którym kierunku pójdzie dym. Jeżeli w stronę drzwi, to chory umrze, w przeciwnym razie będzie żył.

Nim umarłego ubiorą w strój śmiertelny, myją go zawsze przedtem. Woda, w której myto trupa, ma dziwną moc. Gdyby ją wylać komu na podwórze, powyzdychałoby wszystko bydło. Zwykle przechowują tę wodę w jakiem starem glinianem naczyniu aż do dnia pogrzebu. Krótko przed wyruszeniem z domu stawiają naczynie to na środek drogi, aby je wozy rozbiły, gdy pojadą.

Po umyciu ubiera się trupa na śmierć. Grzebień, którym go czesano, trzeba wyrzucić, bo gdyby się kto żyjący nim uczesał, bolałaby go bardzo głowa i włosyby mu powypadały. Przy szyciu stroju śmiertelnego trzeba uważać, aby nie zrobić żadnego węzełka w nitce, bo ugniatałby nieboszczyka w trumnie. Szycie oraz wszystkie posługi dla umarłego trzeba wykonać bezinteresownie. Jeśli umarło dziecko, wkłada mu się do trumienki wszystkie skrawki, jakie pozostały przy szyciu jego sukienki, aby się niemi na tamtym świecie bawiło. Dziewczęta ubiera się jak do ślubu: w białą suknię, welon i wianek, a niemowlęta jak do chrztu: w czepeczek.

Póki jeszcze niema trumny, leży trup na piasku. Piastek ten trzeba później wyrzucić za płot, bo gdyby pozostał w obrębie domostwa, umarłby ktoś jeszcze z rodziny. Nie można go też wyrzucać na pole, gdyż nic tam nie urośnie, gdzie wysypano piasek z pod trupa.

Każdy poczuwa się do obowiązku, by nieboszczyka raz jeszcze zobaczyć, to też ciągle schodzą się do niego ludzie, oglądają go i odmawiają nad nim pacierze.

Wieczorami gromadzą się licznie, przeważnie kobiety i dzieci na t. zw. „puste noce". Odmawiają różaniec, różne litanje i modlitwy i śpiewają bardzo długie i smętne pieśni, przeznaczone specjalnie na „puste noce".

Ostatniego wieczoru przed pogrzebem zbierają się dziewczęta i splatają wieńce. Jeśli umarł gospodarz, to wplatają mu do wieńca różne gatunki zbóż, aby miał na grobie wszystko, co za życia sprzątał ze swego pola.

Gospodarza obnoszą też przed pogrzebem naokoło domu, aby raz jeszcze zobaczył swoje gospodarstwo.

Na pogrzeb zaprasza się gości. Kogo nie zaproszono, ten może odprowadzić zmarłego tylko za wieś do figury.

W dzień pogrzebu schodzą się już wcześnie ludzie do domu żałoby i śpiewają zmarłemu różne pieśni kościelne. Potem jedna ze starszych kobiet — zawsze ta sama — wyprowadza pogrzeb pieśnią „Kto się w opiekę".

Skoro tylko wyniosą nieboszczyka z domu, ktoś z pozostających musi poprzewracać wszystkie krzesła, na których stała trumna, aby nikt więcej z tego domu nie umarł.

Trumnę wkładają na wóz i kto chce, odprowadza nieboszczyka do figury. Tam jest postój, odmawiają modlitwy, a jeden z członków rodziny dziękuje wszystkim za odprowadzenie ciała. Ci, którzy byli zaproszeni, wsiadają na bryczki i jadą.

Po pogrzebie odbywa się t. zw. „poczęsne" czyli poczęstunek w karczmie. Częstują kawą, plackiem i chlebem. Nie brak i wódki, bo „przepijają — jak mówią — skórkę" zmarłego. Często wracają ze stypy dopiero wieczorem pijani do domu. Jeśli zmarły pozostawił żonę lub męża, wtedy już na uczcie pogrzebowej swatają często wdowę lub wdowca. Nieboszczyk cieszy się bardzo, gdy goście się na jego pogrzebie dobrze bawią. To też każdy stara się być wesoły. Pannie lub młodzieńcowi zastępuje stypa wesele, którego się już nie doczekali.

Podczas stypy wychwalają wszyscy najbliżsi zmarłego i opowiadają o jego ostatnich przeżyciach, przedewszystkiem o chorobie i śmierci.

Wieczorem po pogrzebie stawiają na stole kieliszek wódki dla zmarłego, aby też skosztował ze swej stypy. Jeśli się przez noc trochę wódki ulotni, to znak, że nieboszczyk pił...

M. PATECKI:

„WSPOMINKI ŻYCIOWE"

„Szarówka". — „Bismarck i „Dunin". — „Pickelhauby a cylindry". — „Mozaika wyznaniowa". — „Polacy — ewangelicy wczoraj i dziś".

Ciąg dalszy z nr. 5(8).

Kto święci dzisiaj jeszcze „szarówkę"? Kto wśród znoju i potu o chleb powszedni o niej marzy, o niej myśli, do niej tęski?

Nikt już zapewne, bo, o ile chodzi o stosunki miejskie, nowe warunki życia wykreśliły ją bezapelacyjnie z szeregu zwyczajów, pielęgnowanych z pietyzmem przez pokolenia.

Gdy gasnące światło dzienne kładło kres pracy codziennej, a nie było jeszcze

potrzeby rozproszyć pogłębiających się mroków światłem sztucznem, wtedy to zaistniała błogosławiona chwila „szarówki". Była więc chwilą przymusowego wytchnienia, chwilą poważną i uroczystą, najuroczystszą prawie w okresie dnia. Rodzina, skupiwszy się obok siebie, dzieliła się wzajemnie najrozmaitszemi wrażeniami, ale dość często, prawie że w przeważającej mierze, szarówka poświęcona była dzieciom. Opowiadano im powieści, baśnie, gadki najprzeróżniejsze, uczono wierszyków, piosenek, objaśniano w miarę potrzeby to i owo. Słowem, coś w rodzaju domowej szkółki, niezwykle miłej i zajmującej, o ogromnej sile dydaktycznej.

Czasami już głęboko zapadła noc głucha, ciemno było jak w miechu, a wciąż jeszcze z zapartym oddechem przysłuchiwaliśmy się tylokrotnie już słyszanym baśniom o „Madeju rozbójniku", o „Jaśku głuptasku, co bochenkami chleba zatykał dziury mostowe", o „biednej sierotce Marysieńce, która tyle przykrości znosić musiała od swej złej macochy".

Jeżeli zaś osobą opowiadającą był ktoś, który umiał się dostroić do umysłu dziecięcego, który umiał w sposób zajmujący uplastycznić niejako swe opowiadanie, porwać za sobą młodocianą duszę, a taką osobą w bardzo wysokim stopniu była właśnie moja babka, to, doprawdy, pożałowanie godne są te dzieci, które nie miały szczęścia przeżyć chwil takich, istotnie nieocenionych.

Niecierpliwie oczekiwałem dnia tego na chwilę szarówki. Nareszcie babka, wolna od zajęć, usiadła, a ja w tej chwili przy niej, prosząc o wytłumaczenie wszystkiego, czego byliśmy świadkami rychło rano. Poczęła mówić, ale — Boże wielki! — jak ona to wszystko przedstawiała.

Nigdy tego nie zapomnę. Czytałem moc rozpraw w tej mierze, byłem niezliczone razy świadkiem rozmów na ten temat, sam je prowadziłem, ale jakie to wszystko było blade, jakie mdłe i suche wobec słów mej babki. Nikt jak ona nie umiał we właściwej formie przedstawić wszystkich krzywd, wszystkich nieprawości i zbrodni, jakich dopuszczali się niemcy na naszym narodzie.

A kiedy mówiła o prawach majowych, o tem, jak to Bismarck przywłaszczył sobie prawa kościoła, jak znosił klasztory, wydalał zakonników i zakonnice, jak więził biskupów i gorliwych kapłanów, głos jej się załamał. Zdawało się, że płacze

Babka poleciła zaraz zrobić światło i poszła po swego Dunina. Była to wielka książka do nabożeństwa, nadzwyczaj popularna w owym czasie, coby świadczyło, że pierwsze wydanie tej książki obejmowało 70.000 egzemplarzy, a po dwuch latach wydanie drugie 30 000. Babka poszukała znajdującą się w książce modlitwę „Za Ojczyznę", czytała ją potem głośno, a my wszyscy powtarzaliśmy za nią. Po modlitwie zwróciła się babka do mnie i powiedziała pamiętne słowa: „Nieszczęśliwy naród, który się dostał w ręce takiego oprawcy. Pamiętaj zawsze, synku kochany, że Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy. Zobaczymy niewątpliwie, jak ich dosięgnie ręka sprawiedliwości." Niezwykle emocjonująca szarówka dnia dzisiejszego wprawdzie się skończyła, ale ciekawość moja bynajmniej nie została zaspokojona w zupełności. Wiedziałem już wprawdzie, że niemcy, to nasz wróg nieubłagany, że najgorszym wśród nich, to Bismarck, że powagami jego dwaj żandarmi miejscowi, chodzący jak bożyszcza po ulicach miasta, hukając przytem od czasu do czasu niesamowicie na mieszkańców. Unikali ich też ludzie bardzo, a nawet moi kataryniarze przerywali nagle swe opowiadania i zmykali z placu, skoro ukazała się sylwetka w pikelhaubie na głowie i czarnym pasie na brzuchu, zapiętym wielką, żółtą sprzączką.

Ale to mi nie wystarczało, chciałem poznać tych niemców, którzy mieszkali w mieście. Wymieniła mi babka burmistrza Henniga, kamelarza Hentschla, piwowara Fimlinga. Zrozumieć to wówczas, wcale nie było mi łatwo. Panów tych, zawsze uprzejmych i ludzkich, znałem dobrze, pierwsi dwaj mieszkali u mych krewnych, mówili dobrze po polsku, a nawet często zaczepiali mnie na ulicy. Fimling zaś mieszkał obok nas i syn jego był często mym towarzyszem zabaw. Widząc me zaambarasowanie, wyjaśnia mi babka, że niemcy mówią między sobą i w domu po niemiecku. Tak, to coś ciekawego, prosiłem więc ją, aby mi coś po niemiecku powiedziała. Na to twarz babki, zawsze pełna zachęcającego uśmiechu i dobroci, spoważniała nagle. Gdy poczęła mówić, głos dźwięczał inaczej aniżeli zazwyczaj, obcym był prawie, twardym jakimś, nieugiętym. Przestraszyłem się niemało. Nie cierpię, mówi babka, tej wstrętnej i plugawej mowy, nie chcę, aby mi choć jedno słowo szwabskie odbiło się w tych ścianach.

Każde obce słowo, to jakby jakaś delikatniuchna niteczka, która nas wiąże z obcym narodem. My zaś żadnej łączności z wrogami mieć nie chcemy, obędziemy się bez ich mowy, mamy swoją ukochaną, wystarczy nam zupełnie.

Nie przypuszczam tego, ale mówię ci, że gdybyś kiedyś miał sprzeniewierzyć się swej mowie ojczystej, gdybyś miał z wrogami iść za pan-brat, jak to ma miejsce już u wielu zaprzańców, to ja, twoja babka, nie chciałabym nic o tobie wiedzieć, zapomniałabym całkiem o tobie, wyparłabym się ciebie, jak wyrodka.

Nie umiem już należycie określić wrażenia, jakie słowa te wywarły na mnie. Zasznurowały kompletnie gardło, ścisnęły serce, przygniotły piersi. Zalany łzami, ściskałem babkę ukochaną jak najmocniej, pragnąc choć w ten sposób złożyć jej solenne zapewnienie, że nigdy, przenigdy, nie sprzeniewierzę się obowiązkom narodowym.

Aby silne wrażenie, wywołane swemi słowami, załagodzić i zatrzeć, babka nawiązała znowu do przerwanego toku rozmowy i mówi, że niemcy chodzą nie do naszego kościoła, ale do swojego, do „krypla", jak się tam mówiło. Wskazanie na wyznanie, zamiast sprawę wyjaśnić, pogmatwało ją w mym umyśle jeszcze więcej. Wszędzie indziej w Wielkopolsce rozdzielało wyznanie ludność pod względem narodowym, Polak-katolik, niemiec-ewangelik, tylko w Ostrzeszowie i okolicy miara ta zawodziła. Istniała tam pod względem wyznaniowym prawdziwa mozaika. Byli oczywiście Polacy katolicy, była moc żydów, byli kalwini, Polacy, którzy nawet w połowie drogi między Ostrzeszowem i Kępnem posiadali własny cmentarz. Znałem ich kilku a jeden z nich p. Stanisław Wonster z Kotłowa zapisał cały swój majątek na cele narodowe. Przez Olszynę prowadziła z Ostrzeszowa droga do Taboru Małego i Taboru Wielkiego, gdzie siedzieli niedobitki Husytów, Bracia Czescy. Byli niemcy ewangelicy, ale tych było bardzo mało. Byli wreszcie Polacy ewangelicy, tych zaś było bardzo wielu.

Ludność polsko-ewangelicka zamieszkuje pogranicze Śląska w powiatach odolanowskim, ostrzeszowskim, kępińskim. Jej stan liczebny wynosił według statystyki niemieckiej z roku 1910—9333 dusz. Wiemy, że cyfry te są tendencyjnie zmiejszone i właściwa liczba przekracza 13000 dusz. Znacznie więcej Polaków ewangelików jest po drugiej stronie granicy na terenie Śląska niemieckiego w przygranicznych i dalszych powiatach: kluczborskim, sycowskim, mielickim itd. C. d. n.

JANUSZ DERESIEWICZ:

„PRASA POD PRASĄ"

Jedną z kardynalnych przyczyn niskiego poziomu kultury naszego życia publicznego, to fatalna rola, jaką niestety w naszym bezruchu umysłowym odgrywa — prasa.

Która? Czerwona? Czarna? Czy różnokolorowa? Otóż nie idzie tu zupełnie o taki czy inny odcień partyjny. I tu i tam jest źle, bo i tu i tam sadza się w fotelu redakcyjnym w olbrzymiej większość ludzi najzupełniej nieodpowiednich. Często tam bowiem spotykamy ludzi bez żadnej fizjognomji moralnej, bez zdolności nawet, zato „zasłużonych dla sprawy", gorliwców i pionierów, zciachanych demagogów i wiecowych mądrali. I taki „polityk", z zakłopotaniem biorący pióro do ręki i z zakłopotaniem patrzący na niepokalaną kartkę papieru, bryźnie wreszcie kilkoma frazesami, zapali fajerwerki swych bzdurstw gadanych i z zadowoleniem daje to do druku. I lektura taka, spreparowana przez ludzi albo złych i nieuczciwych, albo nierozwiniętych i niedoceniających znaczenia prasy, jej wpływu na psychikę ludzką, na przekonania czytelników szczególnie tych mniej krytycznych — wsiąka w mózgi i krew.

Nie wymagało się do niedawna kwalifikacyj od redaktora, jak do dziś nie potrzeba ich... na ministra, nawet oświaty. Niebezpieczny to stan rzeczy już nietylko z punktu narodowego i państwowego, ale nawet z punktu widzenia upadku życia społecznego. Aby go odmienić, zorganizowano już w Polsce studja dziennikarskie (np. w Warszawie trzyletnie). I Poznań zapowiedział jednoroczny kurs. Poza zawodowem wykształceniem (szczupłem, ze względu na krótki okres), kurs poznański wziął sobie za cel: wychowanie czytelnika. Piękne! I to bardzo potrzebne! Zresztą, mało tego! Chcąc prawdziwie podnieść poziom życia publicznego, trzebaby więcej takich kursów i program ich znacznie rozszerzyć. Dlaczego więc, w ramach zapowiedzianego, czy poza ramami kursu, nie urządzić wykładów dokształcających dla piszących już i działających dziennikarzy; dlaczego nie zacząć z nimi nieraz od a, b, c, kunsztu pisarskiego, etyki, psychologji itd. Wrodzona megalomanja i tu stoi na przeszkodzie. Są przecież tacy, którzy nieudolnemi bredniami żerują na małoduszności, albo, mówmy otwarcie, na głupocie otumanionego czytelnika, tego poczciwca, co to w drukowane wierzy, jak umierający suchotnik w swoje nienaruszone zdrowie.

O tych bolączkach życia współczesnego mówi się na ucho, bardzo ostrożnie — głośno, a pisać — nikt się nie odważa. Byliśmy nieraz świadkami huczku o wręcz niebezpiecznym charakterze, gdy na plac wystąpili odbronzownicy. A dobierz tu się do prasy, która wznawia larum przy każdym wykazanym jej błędzie, ma znakomite środki obrony, uprawia autoreklamę drogą wzniosłych i patetycznych deklamacyj o swej roli w życiu państwowem i domaga się niemal kanonizacji. Przyznajmy, zawód publicysty nie jest łatwy, wymagający dużego wykształcenia i taktu, tembardziej, jeżeli się chce jak u nas często na wszystkie tematy pisać i zawsze w sposób sugestywny i autorytatywny.

Dużo się prawi dzisiaj o podniesieniu życia politycznego. Nie potrzeba jasnowidztwa Skargi ażeby stwierdzić, że to się

veniam verbo, rozpasanie polityczne, każe przewidywać bardzo smutną przyszłość. Mało, że tam, „u góry" odbywają się różne targi, zwane eufemicznie polityką partyjną, mało że ul. Wiejska w Warszawie jest areną ekwilibrystyki polityczno-cyrkowej, mało tego, bo dzięki złej prasie, to kłócenie i niezgoda wsiąkają w rzesze czytelnicze i rozdzierają kraj na liczne partje i stronnictwa, z jeszcze liczniejszemi odcieniami. Na tem, i na szkalowaniu przeciwnika polega rola wielu dzienników, taka „zaszczytna" i tak sztandarowo wyniesiona.

Są poza partyjnemi i inne dzienniki. Starczy je nazwać „czerwoniakami". Z czerwonych, jaskrawych głosek zdaje się świeża krew ociekać. Krwią wydaje się splamiona nietylko płachta papieru, ale i sumienie redaktorskie, które dla byle handlu syci czytelnika opisami najbrudniejszych spraw, zachęcając go mimowoli do jeszcze brudniejszych, bardziej wyrafinowanych i mniej uchwytnych. I to jest wysokie zadanie dziennikarskie. I to są redaktorzy, którzy, jak to często sami wypisują, — poświęcają się itd..

Są pisma rozrosłe w czasach lepszej konjunktury do rozmiarów małego tomu. Jakie w nich morze wody i mało ważnych rzeczy dla zapełnienia licznych szpalt; dziw, że wyrosłe nie z głowy a ponad głowy bałwany, nie zaleją szanownej redakcji.

Przykro wprost o tych rzeczach pisać. Pisząc o tej powszechnej bolączce, wychodzę poza nasz region. Na powódź dzienników, kilka zaledwie wybrać można, które walczą o słuszną sprawę, które lojalnie podają wiadomości, nawet przykre dla siebie, rozumnie je naświetlają, dobierają interesujący materjał itd. Żałować nieraz wypada, że ulepszono fabrykację papieru, bo to spowodowało nieoszczędność miejsca i skłonność do pisania bredni. Gdy jeszcze papier był raczej luksusem, dziesięć razyby rzecz przemyślano, zanim raz napisano. Wówczas także ważniejszym sprawom poświęcanoby więcej miejsca.

Czasby był otworzyć w redakcjach okna, dobrze przewietrzyć zatęchłe lokale i uwierzyć w jedno, że w redakcji musi być człowiek kwalifikowany pod względem wykształcenia, talentu no i etyki. Może wówczas wychowa się równocześnie nowy typ czytelnika. Lektura dzienników, może stanie się wówczas pouczającą i będzie czynnikiem wychowującym, przedewszystkiem człowieka, potem obywatela a nigdy nie partyjnika, lub innego ciasnogłowa.

Na odpowiednim poziomie są dopiero wszelkie pisma naukowe, literackie, poświęcone sztuce i społeczne, wychodzące niestety rzadko. Są one czytywane przez nieliczną garstkę, stąd niektóre, z powodu kryzysu ekonomicznego (który się dołączył do umysłowego) upadają. W ten sposób upadł zasłużony i nieodżałowany „Pamiętnik Warszawski", w ten sposób upadła „Kultura" warszawska, upadły i inne a wiele zaledwie wegetuje.

Z otuchą patrzelibyśmy w przyszłość, gdyby jakaś siła tajemna wytrąciła dotychczasowym czytelnikom Tajnych Detektywów, przerozmaitych czerwoniaków, partyjnych ramot — z rąk ich szpalty, a dała im wartościowe pisma literackie, naukowe, społeczne, poświęcone sztuce, ogólnokulturalne itp. Może region wielkopolski znany z trzeźwości (nawet prześmiewany) i pozytywnego stosunku do życia, stanie się pod tym względem wzorem i pierwszy odmówi pismom bezwartościowym, płaskim i szkodliwym moralnego debitu.

JULJAN SZPUNAR:

SKĄD SIĘ WZIĘŁO LESZNO w WARSZAWIE?

Każdego Wielkopolanina a zwłaszcza mieszkańca Leszna interesuje niewątpliwie pytanie, postawione w nagłówku: skąd się wzięła w Warszawie ulica Leszno, leżąca dziś niemal w centrum stolicy?

Czy to przypadkowy zbieg okoliczności, czy też istnieje jakiś związek między tą nazwą a Lesznem wielkopolskim? Ponieważ niejednokrotnie zwracano się do mnie z temi pytaniami, przeto najlepiej będzie, jeśli odpowiem na nie w najodpowiedniejszem potemu czasopiśmie.

Warszawa, jak każde z miast wogóle, rozwijała się powoli, wchłaniając w siebie sąsiednie, bliższe i dalsze osiedla. Jeszcze w XIII w. była Warszawa nieznaczną wioską (dzisiejsze Powiśle i Nowe Miasto), ale już w XIV w. poczęła się szybko rozwijać dzięki książętom mazowieckim Ziemowitowi i Januszowi. Po śmierci ostatnich dzielnicowych władców Mazowsza przyjeżdża do Warszawy w r. 1526 król Zygmunt I. i przyłącza tę prowincję na zawsze do Polski. Jego syn Zygmunt August przeznacza Warszawę na stałe miejsce sejmów, nadaje jej szereg przywilejów i buduje pierwszy most na Wiśle, opiewany przez wielu poetów współczesnych (Kochanowskiego).

Po zgonie ostatniego Jagiellona odbywają się tutaj (ze względu na centralne położenie i wygodne drogi) elekcje królów naprzód na Solcu, potem we wsi Woli, skąd dziś zaczyna się ulica Leszno. Od r. 1596 staje się Warszawa stolicą Polski i odtąd, dzięki opiece Zygmunta III. i Władysława IV., rośnie jak na drożdżach. Jednym z magnatów, którzy przyczynili się do rozwoju Warszawy, był Bogusław Leszczyński († 1659), podskarbi wielki koronny. Założył on mianowicie — wedle jednych źródeł w r. 1648, wedle innych w 1654 — jurydykę Leszno pod Warszawą, którą nazwał umieniem swej posiadłości w Wielkopolsce.

Jurydyki, jak wiadomo, były to osady, niekiedy nawet dom czy kamienica, wyłączone z pod prawa miejskiego i całkowice niezależne od władz municypalnych a zniesione dopiero w r. 1792. Zakładane przez duchowieństwo i możną szlachtę, rządziły się osobnemi prawami i co najważniejsza, nie płaciły podatków na rzecz miasta, w którego obrębie się znajdowały. Na takich jurydykach osadzano też żydów, którzy w miarę rozwoju stosunków dostawali się do miast i ujmowali handel w swoje ręce.

Taką więc jurydyką było między innemi Leszno pod Warszawą. Zdaje się jednak, że nie posiadała ona przywilejów, o których pisało się powyżej, gdyż Stefan Batory nadał Warszawie w r. 1576 przywilej, mocą którego zobowiązał do przyjęcia praw miejskich i płacenia podatków wszystkich obywateli, mieszkających zarowno w mieście, jak i po różnych jurydykach.

Dziś Leszno jest tylko jedną z ulic naszej stolicy i nie zawadzi jeszcze dodać, że „na Lesznie" — jak się mówi w Warszawie — odbywały się narady spiskowców przed wybuchem pamiętnej insurekcji 1794 r. i tu też rozgrywały się ważne wypadki, związane z powstaniem listopadowem, o czem świadczą także liczne obrazy i sztychy, pochodzące z owych czasów.

BRONISŁAW SZCZEBRZYC:

„GDYBYM BYŁ MŁODSZY, PIŁBYM NIE WINO..."*)

Białą brzozą, kwitnącą na wiosnę zakwitłaś we mnie. Wparłaś się we mnie twą żywą, dziecięcą mocą, — mimo że nie chciałem.

Kiedy srebro poważne osędziło mi mój łeb kudłaty, o którym kiedyś przyjaciele moi mówili, że nigdy czesanym nie był, — tyś wrosła we mnie.

I czy ja wiem czem mi jesteś?

Zapewne zapachem jaśminów, których nigdy jeszcze powonieniem nie miałem sposobności dotknąć, —

Zapewne srebrzystym klangorem żórawi, ciągnących pod różowe zmierzchy wieczorów w dal perłową, — żórawi, których nigdy nie widziałem, a o których słyszałem jedynie dawno kiedyś z ust mistrza Juljusza, —

Zapewne biało-karmazynowym snem, który mi się majaczył kiedyś, przez życia kawał długi i nigdy się nie ziścił, —

Zapewne purpurą i aksamitem czerwonego pączka roży, który raczył zakwitnąć pod jesienne szrony, —

Zapewne konchą perłową, którą ja, rybak wędrowny zdybałem na burzliwych falach życia i tulę ze słodkiem drżeniem chciwca do serca mojego, — — —

Czy ja wiem czem mi jesteś i czemuś przyszła?

Wiem tylko jedno: że jakąś biało-zieloną, kwiecistą i wiośnianą łąkę mam wewnątrz siebie. Że rozpromieniło się we mnie blado-różowemi, promiennemi opalami zamorusane okienko, przez które dusza moja tak długo patrzyła na światy i kwiaty. Wiem tylko tyle, że świat jest dobry, że człowiek jest dobry i, że Bóg jest dobry.

Białą brzozą, kwitnącą na wiosnę we wietrze zakwitłaś we mnie. —

*) Wyimek z przygotowywanej do druku książki Bronisława Szczebrzyca pt. „Maki i Modraki".

LISTY Z REGJONÓW

Z BYDGOSZCZY

Bydgoszczanie postanowili skończyć z legendą o kryzysie. Stwierdzili, że zastój właśnie sami wywołują swojem ciągłem narzekaniem i... gnuśnością. Czas był najwyższy, aby się otrząsnąć — no, i opamiętano się... Nie będę tu oczywiście mówił o niebywałem i wprost nieprawdopodobnem przepełnianiu różnych lokali rozrywkowych w soboty i niedziele. Podczas gdy jeszcze kilka zaledwie lat temu — mimo pomyślnej konjunktury — Bydgoszcz zadowalała się dwiema kawiarniami, które zresztą też specjalnego powodzenia nie miały, to obecnie nie starczy miejsca w czterech wielkich lokalach — aby już nie wspomnieć o rozlicznych cukierenkach i barach, powstałych ostatniemi czasy... Nas zajmuje w pierwszej linji życie kulturalne.

I tutaj zanotonować wypada pocieszający objaw: akademje ku czci Chopina ściągnęły do Teatru Miejskiego istne tłumy publiczności. Nie wiem, co więcej przyciągało: apel do ambicji t. zw. inteligencji czy też wykonawcy programu Pierwszym razem (wszak były dwie akademje o bardzo zbliżonej do siebie strukturze) głównym wabikiem był pewnie Niedzielski, który po triumfach w radjo angielskiem stał się modnym na gruncie bydgoskim — w drugim wypadku sensację stanowił referent: ksiądz w roli mówcy na temat muzykologiczny! Dość, że powodzenie było wielkie i pracowity miejscowy Komitet Dni Chopinowskich zbierał obfity plon...

Niedzielski wystąpił w ostatnich dniach z pierwszym w tym sezonie koncertem. I znowu sala była przepełniona — wprawdzie w większej części przez takich, którym zależało nietyle na muzyce, ile na popieraniu księży misjonarzy, którzy na Bielankach budują ogromny kościół. Otóż Niedzielski oddał cały dochód na budowę tej świątyni, stąd też te tłumy. Program niestety był mało popularny i mógł dać satysfakcję właściwie tylko nielicznym fachowcom...

A teatr? Prowadzi go w dalszym ciągu Stoma — ale już jako urzędnik Z.A.S.P.'u, który placówkę bydgoską przejął od miasta. Strona zespołowa nie ulega zasadniczym zmianom. Dotychczasowy repertuar także nie zmienił się na lepsze. Zapoczątkowano sezon ramotą Zalewskiego „Oj mężczyźni, mężczyźni!" Potem poszedł „Jim i Jill" (bzdurstewko to bardzo imponowało Warszawie) — w najbliższym czasie pokażą nam operetkę „Marjetę" — słowem byłoby całkiem beznadziejnie gdyby nie „Wyspiański". Pono w dyrektorze Stomie obudził się dawny „Czepiec" i „Chłopicki" i zamierza na serjo wziąć się do inscenizacyj „Wesela", „Warszawianki" i „Cyda". Inscenizacje te mają być głównemi momentami ogólnych uroczystości ku czci Wyspiańskiego na terenie Bydgoszczy. W ramach tych uroczystości Plastycy Pomorscy organizują swój osobny wieczór. Listopad więc zapowiada się bardzo ciekawie zwłaszcza, że i „Żywy Dziennik" już zapowiedziany. Jan Szalla.

Z SZUBINA

Barbarzyństwo!

W Szubinie dokonano skandalicznej rozbiórki odwiecznego zamku gotyckiego. Pochodzące aż z XIV wieku, wznosiły się wśród moczarów, na nasypie potężne mury, wspaniałe podkopy, korytarze z glazurowanej cegły... Od XIV wieku to stało, Prusacy strzegli jak oczka w głowie a w r. 1932 rozbija się szacowne mury kilofem i sprzedaje po 4 zł za furę łomu. Parę domów i stodół (pewnie i chlewików) stawiono z szacownego muru. Pono barbarzyństwem zainteresowała się Warszawa. Jak nam donoszą konserwator Remer był już na miejscu, wstrzymał rujnację i opieczętował budowlę. — Tyle nasz informator. Gdyby nie jego wiarogodność nie dalibyśmy wiary tej potwornej wiadomości. Brak słów na dosadne określenie zbrodni. Czynniki miarodajne powinny dać dokładne wyjaśnienia i wystąpić jak najenergiczniej aby uniemożliwić na przyszłość podobne barbarzyństwa. Red.

KRONIKA

Dnia 17. IX. r. b. prezes Polskiego Tow. Krajoznawczego p. A. Janowski, wygłosił w radjo warszawskiem odczyt o swej wycieczce na Pałuki.

— Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, oddział warszawski, zainicjowało w dniu 21. IX. sezon odczytowy „Wieczorem pałuckim", na który złożyło się przemówienie prezesa p. A. Janowskiego przy przeźroczach z widokami ze Znina, Wągrówca, Szubina, oraz deklamacje utworów Stanisława Helsztyńskiego w wykonaniu art. dram. p. Bąkowskiego.

— W numerze 43 „Wiadomości Literackich" w artykule: „Arjański dwór i żydowski świecznik" poświęconym Emilowi Zegadłowiczowi znajdujemy szereg „charakterystycznych" uwag Zegadłowicza na temat Poznania O swym pięcioletnim pobycie w Poznaniu wyraża się Zegadłowicz w ten sposób: „Było we mnie coś z chłopa jadącego „na saksy". Wyjechałem zarobkować, nie pracować; to zupełnie co innego. Byłem urzędnikiem, nic więcej. Dobrym czy złym? Raczej złym... —

— Oficyna Andrzeja Prądzyńskiego we Wrześni kończy druk Drugiego Tomu Bibljoteki Wici Wielkopolskich, zawierający cykl utworów poetyckich Marjana Turwida pt. „Dni Wielkiej Doliny". Okładkę projektuje autor.

— O „Wenecji nad Brdą" Stanisława Helsztyńskiego pisze w „Gazecie Bydgoskiej" ks. Bronisław Szczebrzyc.

— W Wągrówcu począł ukazywać się „Dwutygodnik Regjonalny" przy „Gazecie Wągrowieckiej". Redaguje pismo wągrowiecka młodzież akademicka. Brawo! —

— W Lesznie otwarto 1. X. w gmachu sądu okręg. wystawę plastyków polskich. Zebrano aż 800 wartościowych eksponatów, wszystko ze zbiorów prywatn. miejscowych.

— W zeszycie 3. Rok VIII. „Zarania Śląskiego", opisuje Alfred Jesionowski swą wizytę u zasłużonego drukarza i wydawcy w Poznaniu Jana Kuglina.

— W „Dzienniku Bydgoskim" (z dnia 23. X.) pisze redaktor J. Szalla obszernie o „Wiciach Wielkopolskich jako przykładzie pisma regjonalistycznego".

— W zeszycie 1. (R. II.) „Głosu Akademickiego" (Poznań) zamieszcza Miecz. Suchocki w artykule „Jeszcze w sprawie Wielkopolski" szereg wnikliwych i ciętych uwag pod adresem niefortunnej kampanji „Dwutyg. Liter." przeciw Wiciom.

— Z dniem 1. X. nastąpiła reorganizacja działu poświęconego sprawom kulturalnym w „Dzienniku Poznańskim", który odtąd redagować będzie Dr. Wanda Brzeska.

— Jakóbowi Wojciechowskiemu autorowi życiorysu robotnika, Boy-Zeleński wydał nowy tom jego utworów w książce zatytułowanej: „Raz kiedyś a obecnie". Równocześnie wydawca w „Wiad. Liter." (Nr. 41) omówił nową książkę.

— Prof. Kamykowski wydał świeżo, z inicjatywy Polskiej Akademji Umiejętności, zbiór cennej korespondencji wielkiego Wielkopolanina Jana Sniadeckiego, rektora wileńskiego.

— Ks. Józef Umiński ogłosił niedawno we Lwowie rozprawę: „Zapomniany rysownik i rytownik polski XVI w. ks. Tomasz Treter i jego Theatrum Virtutum D. Stanislai Hosci"; rozprawa ta przypomina wybitnego poznańczyka a zamieszczona jest w „Collectanea Theologica".

— W 394 nr. Kurj. Pozn., Zygmunt Wasilewski zajmuje się w dalszym ciągu kwestją regjonalizmu w artykule „Regjonalizm a całość".

— Stanisław Wasylewski w nr. 438 Kurj. Pozn. zapoznaje z kilkoma Wielkopolanami: Janem Rozmukiem, Zygmuntem Kaliszańskim, Mikołajem Parawą i Stanisławem z Chodcza, którzy w średniowieczu szli z Wielkopolski na Ruś, by tam nieść zachodnią kulturę.

— Antoni Chocierzyński w nr. 440 Kurj. Pozn. pisze o „Skromnym człowieku — Wielkim Polaku" o Greku z pochodzenia Żupanosie, czyli składa hołd wielkim zasługom położonym około naszej kultury minionych lat dziesiątek — Jana Konstantego Żupańskiego, wydawcy 700 tomów dzieł polskich.

— Dr. Alfred Brosig w nr. 456 Kurj. Pozn. (Dział Kultury i Sztuki) słusznie piętnuje w artykule: „Dlaczego marnujemy takie skarby?" panoszącą się u nas barbarję konserwatorską. Zwraca uwagę na to ile dzieł cennych przez nieumiejętne partactwo „odnowicieli" i przez nieuctwo nazawsze dla nas przepadło.

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

Ziemia Wschodniopruska

miesięcznik ilustrowany, poświęcony zagadnieniom polityczno-gospodarczym Prus Wschodnich oraz obyczajom i zwyczajom Warmji i Mazur. Rok IV. 2, 5, 6, 7. Redakcja i wydawnictwo Toruń.

Pismo niezmiernie ważne, spełniające misję polityczno-społeczną, kulturalną, narodową, oświatową itp. Popatrzmy choć na tytuły artykułów: Kłajpeda a my, Dawne hutnictwo żelaza na Mazurach, Z warmijskich obyczajów, Ratujmy katolickość Warmji, piosenki opowiadania itp. warmińskie, Procesy narodowościowe w Prusach Wschodnich, W rocznicę plebiscytu wschodnio-pruskiego i i. Miesięcznik stoi pod hasłem: ratujmy Warmję! ratujmy Mazury! Dobrze, że redakcja kładzie nacisk także na folklor, gwarę, pieśni, obyczaje, gusła ludowe. Do niedawna były gwary warmińskie nieznane. Odkrył je „naukowo" Nitsch, pokazał żywo przedewszystkiem Steffen, dalej ks. Barczewski a ostatnio P. Sowa. Stale raczą nas ciekawym tym językiem miesięczniki Ziemi. Oby pismo, urozmaicone pięknemi rycinami, rozwijało się jak najlepiej, ku radości naszej a pokrzepienia serc braci z tamtej strony kordonu. A. S.

Wacław Świątkowski

Nad wodami Warty, Gopła i jezior kujawsko-wielkopolskich. Szósta wycieczka po kraju. Warszawa. Nakł. autora. 1930. Str. 178. Liczne ilustracje.

Książka popularna dla wszystkich: starych i młodych, napisana żywo i ciepło — o Piotrkowie, Sulejowie, Przedborzu, Pławnie, Gidlach, Złotym Potoku, Olsztynie, Pilicy, Częstochowie, Wieluniu, Sieradzu, Uniejowie, Kole, Koninie, Kazimierzu Biskupim, Ślezinie, Mikorzynie, Kruszwicy, Inowrocławiu, Mogilnie, Trzemesznie, Lednogórze, Gnieźnie, Lądzie, Pyzdrach, Miłosławiu, Wrześni i Winnogórze — i o szeregu innych miejscowości, na drodze wędrówek autora leżących. Niestety autor wędrował w roku 1920 a książkę wydał 10 lat później. Stąd dużo nieporozumień i mylnych informacyj. Nie bierzemy ich jednak poważnie, bo praca nosi charakter pogawędki turystycznej, pogadanki krajoznawczej a nawet felietonów, w dość subjektywnem widzeniu i odczyciu. Książka tedy naukową nie jest. Zbyt poważnie potraktowała ją więc krytyka niemiecka (Deutsche wissenschaftliche Zeitschrift für Polen, H 24.), zbijając autora — często słusznie — jego własnemi zdaniami. Sądzić ludzi, kraj, porządki, obyczaje doraźnie, prawie z lotu ptaka, jest zawsze niebezpiecznie, to też wolimy i uznajemy to, co autor napisał o przeszłości tych miast, o zabytkach sztuki, o kościołach, jeziorach itd. Tu się najmniej myli, bo czerpie wiadomości ze źródeł pewniejszych niż krótkie spostrzeżenie. Prostować licznych nieścisłości i nieaktualności (po 10 latach!) nie będziemy. Niech autor jeszcze raz przyjedzie np. do Wrześni a nie zobaczy już dworu „bardzo zaniedbanego“, lecz piękny, stylowy pałacyk, biały jak dwór soplicowski, zobaczy więcej oprócz kościoła. Jakże innym jest dziś Inowrosław, Strzałków itd. Mocno się Wielkopolska duchowo zmieniła; mówią we Lwowie i Krakowie, że także do niepoznania, pocóż więc te późne lamenty, morały i uwagi nie na czasie! Ludzi bratają podobne charaktery, losy życiowe, kultura duchowa i materjalna, podobne poglądy na świat, życie i ludzi, ba nawet podobne poglądy społeczne, ekonomiczne itd. Trzeba trafić na swego, a obojętnie, skąd on pochodzi z Krakowa, Berdyczowa, Pińska, Pyzdr czy Poznania. Przecież i z Niemcem czy Żydem żyć można dobrze, mimo starych porachunków. Wszystko zależy od człowieka. Jakże więc przykro brzmią słowa: miast serca i ciepła, doznałem (w Wielkop.) wiele upokorzeń i niegrzeczności*). Jeśli tak, to od tych chamków moralnych, których spotka się wszędzie. Indziej zresztą autor przesadnie nawet miejscami chwali Wielkopolskę i Wielkopolan (str. 135 i i.). Kongresówce nie szczędzi ostrych słów: brudy, niezaradność, bieda, dziury, domy odrapane, dachy się walą, ciemności egipskie w nocy, kolej za górami, za lasami (str. 157). Albo: osiedla Kongresówki to obraz brudu, niechlujstwa, biedy (str. 132). Wszystko zatem względne: zależne od tego, jak, skąd i na co się patrzy. Dobrych i złych znajdziesz wszędzie. Warunki ekonomiczne były różne. Nie trzeba być zbyt apodyktycznym.

Słaba więc strona niezłej naogół książki leży w tem, że pojawiła się 10 lat zapóźno, albo autor poznał Wielkopolskę 10 lat za wcześnie. Mógł jednak pominąć owe psujące rzecz właściwą osobiste sądy i opinje porównawcze nieścisłe a powinien być o wiele ogledniejszy i dokładniejszy w przedstawianiu historycznem stosunków polsko-niemieckich, których zbyt dobrze nie zna. Praca dostarcza bardzo wiele materjału do dyskusji, która może być różnie wyzyskaną, nawet dla propagandy nam wrogiej. Opisy zewnętrzne miast wielkopolskich są już dziś mocno przestarzałe i nieprawdziwe (w Gnieźnie widział autor tramwaje!!). Strona zewnętrzna książki bez zarzutu, ryciny pouczające. Szkoda, że pracy przed drukiem ktoś znający lepiej Wielkopolskę nie przejrzał i nie unowocześnił. Stałaby się wtedy dobrym przewodnikiem, tak jest zaledwie dostatecznym. Autor posiada zmysł spostrzegawczy i jest znakomitym turystą.

A. Szyperski.

*) Ponieważ podobne wybryki aspołeczne i amoralne zwykliśmy piętnować, prosimy autora o uwagi na temat tych osób, instytucyj, przedsiębiorstw itp., które utrudniały mu poznawanie Wielkopolski (str. 134). Wydrukujemy je z całą gotowością służenia wspólnej sprawie. Tępimy bezwzględnie wszelkie warcholstwo międzydzielnicowe i żałujemy, że nie poznaliśmy autora — prawdziwego regjonalisty wcześniej. Red.

Wanda Brzeska:

Mitropa

Poezje z włóczęgi. Poznań 1932, str. 83.

Poezje wielce utalentowanej i znanej Poznaniowi autorki czyta się jednym tchem i z prawdziną rozkoszą. Daleko jej do karkołomnych łamańców mózgowych dzisiejszych haromistrzów słowa, i całe w tem szczęście, cała radość czytania. Poezje z włóczęgi po Europie! Krótkie jakoby obrazki, rzuty, sylwetki ekspresjonistyczne na podłożu konkretnego impresjonizmu, wszystko więc proste, miłe i szczere, szlachetne i arcykulturalne. Autorka dobrze operuje rytmem, wyczuje zawsze nastrój, trafi w właściwy ton. Jakież bogactwo konstrukcyj stroficznych! Tomik naprawdę godny uwagi, wydany w dodatku bardzo estetycznie w Drukarni Rolniczej — pod okiem Jana Kuglina. Oby „Mitropa“ zdobyła szerokie koła inteligentnych konsumentów piękna poezji, bo swą nieprzeciętną kulturą artystyczną zasługuje na to. **S.**

Dr. Bronisław Świderski:

Ilustrowany opis Leszna i ziemi leszczyńskiej

Leszno 1928, nakł. Krajewicza.

Leszno, jedno z najstarszych a zarazem bogatych świetną przeszłością miast polskich, doczekało się nareszcie obszernej monografji w języku polskim, napisanej przez zasłużonego na gruncie tutejszym obywatela-patrjoty dr. med. Świderskiego. Olbrzymi materjał, zdobyty na podstawie prac takich badaczy, jak Stanisław Karwowski, Ks. Łukasiewicz, pastor Bicherich, Dr. Paul Voigt i innych i na własnych obserwacjach, podzielił autor na trzy części. W pierwszej podaje bardzo ciekawą historję Leszna od czasów Mieszka I. do r. 1920, zatrzymuje się (może nieco przydługo i zbyt drobiazgowo) na wypadkach, związanych z wojną światową.

Część druga to szczegółowy opis miasta, jego administracji, urządzeń, ważniejszych budowli, dalej uwagi autora o handlu leszczyńskim, przemyśle, rękodziele, towarzystwach i cechach.

Część trzecia zajmuje się powiatem leszczyńskim z szczególnem uwzględnieniem Osieczny, Rydzyny, Święciechowej i Włoszakowic. Tu też umieścił autor szereg legend, krążących do dziasiaj w okolicach bliższych i dalszych Leszna; jak np o Maćku z Borkowic, Białej damie w zamku rydzyńskim i in. a zarazem pieśni ludowe z Pawłowic.

Najbardziej interesujący rozdział poświęcony jest powstaniu ludności powiatu leszczyńskiego, znanego autorowi bardzo dokładnie zarówno z przeżyć osobistych, jak i z opowiadań naocznych świadków i uczestników walk. W tej też części opisuje dr. Świderski stosunki już w wyzwolonem od Niemców mieście i kończy swą monografję przeglądem niektórych zakładów przemysłowych i handlowych Leczna w r. 1928.

Mnóstwo pracowicie nagromadzonego materjału czyni z tej książki ciekawy i pożądany dokument historyczny. Doskonały papier, wyraźny druk, szereg świetnych ilustracyj potęguje jeszcze wartość monografji, która powinna się znaleźć w każdej bibljotece naszego kraju a zwłaszcza u badacza dziejów Wielkopolski. **Juljan Szpunar.**

Z Pałuk

Nakładem Pałuczanina, ruchliwej gazety regjonalnej o charakterze już poważniejszym wyszedł w Żninie kalendarz, zasługujący na uwagę działem naukowym, opracowanym przez uczniów Koła Krajoznawczego przy miejskiem gimnazjum. Prace uczniowskie takie jak np Rys geograficzny Ziemi Pałuckiej (z mapą), Rys historyczny, Znakomici mężowie ze Żnina, Niemcy i Żydzi w Żninie i inne dowodzą jak wartościowe są Koła Krajoznawcze i jak pożyteczną robotą można zająć młode umysły. Leży to zresztą w dzisiejszym programie nauczania, chociaż nie wszystkie gimnazja regjonalizm jak Śrem, Żnin czy inne uprawiają. Do prac trudno przykładać miarę ścisłą, dobrze one jednak informują. Sądzimy, że Koło będzie swe prace kontynuować wyda jakąś całość osobną o Pałukach. Ma piękne wzory w zbiorach i wydawnictwach warszawskiej centrali, którą naprawdę warto naśladować. Mniemamy, że dobre kierownictwo Koła żnińskiego to uczyni. Jedna mała uwaga: polonistka nie dopilnowała swego „działu“; zbycie ciekawych gwar pałuckich jednem błędnem (i to elementarnem) zdaniem (str. 37) to mało i niedbale. **S.**

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu“, we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. — W Krakowie: Księgarnia D. E. Friedlein. — W Gdyni: M. Niemierkiewicz.
Redakcja: Poznań Osiedle Warszawskie Słupecka 7. Przedstawiciel redakcji przyjmuje w poniedziałki i czwartki od g. 4—5 (Plac Wolności 10 m. 13).
Administracja i sekretarjat redakcji: Września. ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200 057